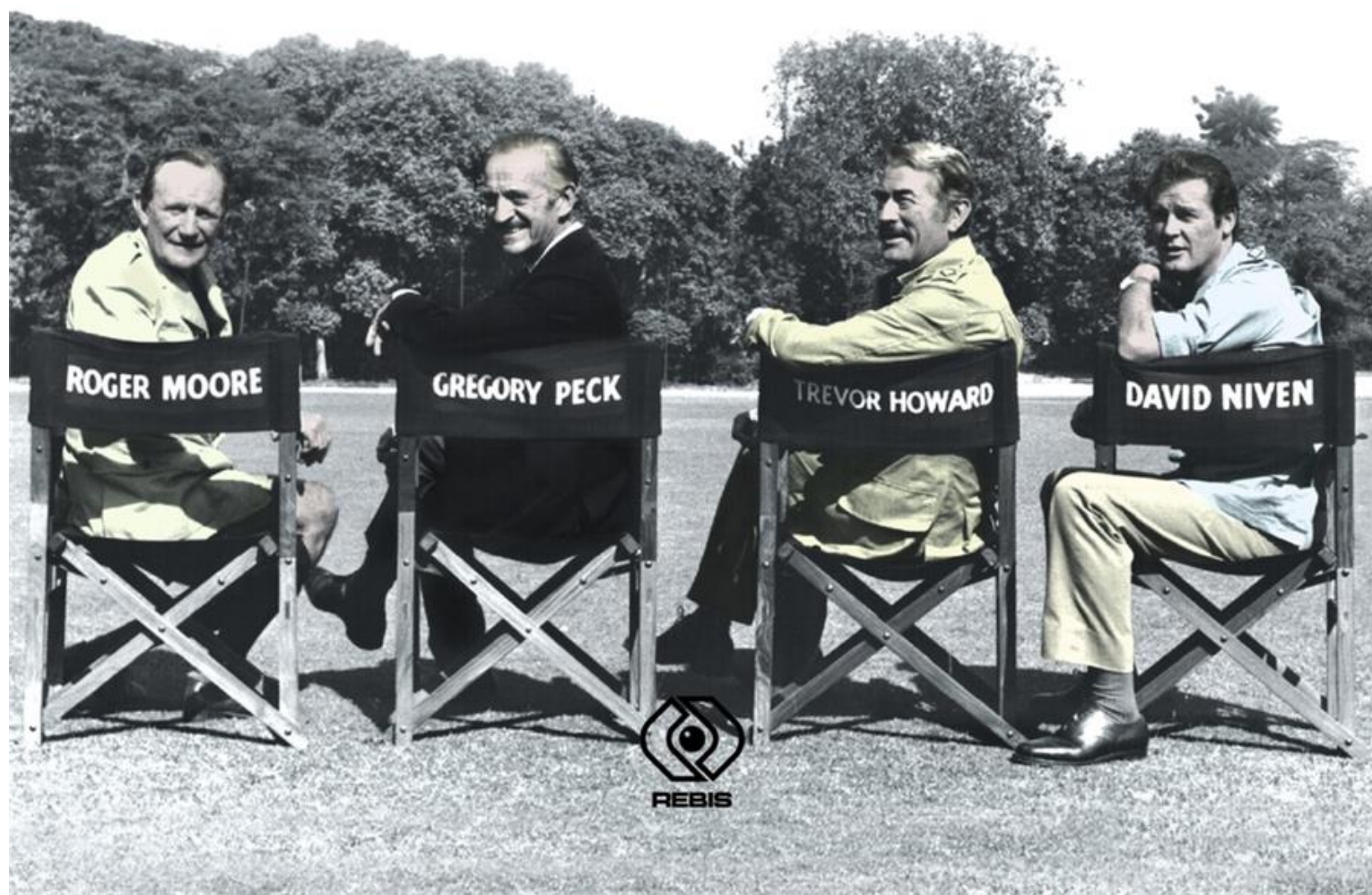


ROGER MOORE

OSTATNI Z ŻYWYCH

OPOWIEŚCI Z FABRYKI SNÓW



Garść anegdot

nimfa bagienna



Jakoś tak jest, że śmierć przypomina nam o ludziach lekko już za życia zapomnianych. Dotyczy to zarówno celebrytów (pamiętacie internetową histerię po śmierci Carrie Fisher?), jak i dalszych członków każdej rodziny. Nagle, gdy jest już za późno, zaczynamy żałować, że przez ostatnie dziesięć lat nie znaleźliśmy czasu, żeby odwiedzić ukochaną ciotuchnę. Co jest tego przyczyną – nie wiem. Tak jest i już.

Niedawno do Wielkiej Montażowni (jak zwykł był mawiać Tony Curtis) odszedł kolejny człowiek legenda: Roger Moore. Idol mojego dzieciństwa. Niezapomniany „Święty”, czarujący lord Berett Sinclair, i oczywiście Bond. James Bond. Na ironię, a wręcz na czarny humor, zakrawa fakt, że pożegnalna książka sir Rogera nosi tytuł „Ostatni z żywych”. Informacja o śmierci aktora przypomniła mi o przystojniaku, w który podkochiwałam się, podlotkiem będąc (O, niestałości uczuć kobiecych!), i zachęciła do sięgnięcia po książkę. Jak było?

Największą przyjemność sprawiła mi nie zawartość pisana, lecz dopełniające ją obrazy. „Ostatni z żywych” to pozycja bogato ilustrowana. Choć część z prezentowanych zdjęć jest powszechnie znana, to jednak sporo z nich widziałam po raz pierwszy. Przyłapałam się na tym, że traktuję książkę bardziej jak album niż literaturę – pomijam treść i z wielką lubością (oraz łezką w oku) przeglądam fotografie. Ale się przy tym wzruszyłam!

A co z treścią? Podtytuł „Opowieści z Fabryki Snów” najlepiej oddaje zawartość książki. To zbiór luźno ze sobą powiązanych anegdot ze świata filmu. Niektóre są rzeczywiście zabawne, inne nie bardzo. Aczkolwiek trudno o coś bardziej subiektywnego niż poczucie humoru. To, co jednego czytelnika rozbawi do łez, u innego wywoła jedynie grymas niesmaku lub znużone ziewnięcie. *De gustibus...* i tak dalej. Tym bardziej że anegdoty są mocno zróżnicowane: od niepoddających się tłumaczeniu żartów językowych, poprzez specyficzny angielski humor, aż po dość przaśne historyjki.

Z pewną przykrością muszę przyznać, że Roger Moore był znacznie lepszym aktorem niż pisarzem. Książka napisana jest niezwykle chaotycznie, bez żadnej myśli przewodniej. Ot, garść luźno powiązanych opowieści, posortowanych wedle raczej przypadkowego klucza. Do tego historie przekazane są dość drętwo. Autor traktuje osoby, o których opowiada, z ogromną dozą życzliwości, nawet wtedy, gdy treść historii zupełnie takiej życzliwości nie usprawiedliwia. Dystans, który urzekał na ekranie, w wersji pisanej nie sprawdza się. Powstał tekst sztywny i nienaturalny. Być może

zabrakło niepowtarzalnych gestów, mimiki, uśmiechu, które na ekranie nadawały niepowtarzalny urok nawet najprostszym opowieściom.

Wartość poznawcza „Ostatniego z żywych” jest mocno problematyczna. Moore, który przecież przemysł filmowy znał od podszewki i z pewnością niejedną ciekawą historię mógłby opowiedzieć, ślizga się po powierzchni. Nie wychodzi poza obręb płytkich towarzyskich ploteczek. Z książki nie dowiadujemy się nic ani o kulisach przemysłu filmowego, ani o blaskach i cieniach życia gwiazd. Całość przywodzi na myśl kompilację krótkich artykułów z kolorowej prasy. A szkoda.

Pozycja głównie dla miłośników kina poszukujących anegdotek, którymi będą mogli zabawiać towarzystwo podczas spotkania przy piwie albo podczas rodzinnego grilla.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics

Tytuł: „Ostatni z żywych. Opowieści z Fabryki Snów”

Autor: Roger Moore

Tłumacz: Maciej Szymański

Wydawca: Rebis 2015

Stron: 304

Cena: 44,90 zł